



PONAD **200** MODELI ROWERÓW

HYBRYDOWE / GÓRSKIE / TRIATHLONOWE / SZOSOWE
TURYSTYCZNE / TREKKINGOWE / MIEJSKIE / CROSSOWE
PRZEŁAJOWE / DAMSKIE / DZIECIĘCE

KUP SWÓJ WYMARZONY ROWER CUBE
NA **RATY** LUB W **LEASINGU**

Rowery Cube
do **20 Rat** RRSO **0%**.



Rowery Cube
w ofercie **PKO Leasing**.



POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a

WROCŁAW: CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE: CH 3 Stawy



12, 26–37

Polska wybiera



56

Alabama zakazuje aborcji



108

Historia w kadrze

Tematy tygodnia

- 12 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Eurowybory:
kolejna bitwa o wszystko
- 16 Adam Szostkiewicz
Episkopat do dymisji?
- 19 Ryszarda Socha
Arcyksiążę Głódź

Rozmowa Polityki

- 22 **Richard Dawkins** o bogach,
genach i poprawności politycznej

Na wybory

- 26 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki
Tak działa sztab PiS
- 29 Rozmowa z **Wojciechem Hermelińskim** o wyborczych manipulacjach i nie tylko
- 32 Klaus Bachmann
Skąd się bierze siła populistów
- 35 Cezary Kowanda
Czym zajmuje się europarlament

Społeczeństwo

- 38 Joanna Cieśla
Macocha być
- 41 Rozmowa z **dr. Sławomirem Jakimą**
o tym, czym właściwie jest pedofilia
- 44 Katarzyna Zdanowicz
Żona z Ukrainy

Rynek

- 48 Adam Grzeszak
Włoski strajk na polskich drogach

Świat

- 52 Łukasz Wójcik USA
John Bolton – wojowniczy doradca Trumpa
- 56 Tomasz Zalewski USA
Aborcyjna misja prawicy
- 59 Dariusz Kałań BOŚNIA I HERCEGOWINA
Piłkarskie wojny zastępcze

Historia

- 62 Sebastian Ligarski, Grzegorz Majchrzak
Mity 4 czerwca
- 66 Jan Różdżyński
Jak Solżenicyn wracał do domu

Nauka

- 70 Wojciech Mikołuszko
Biologia muzyki
- 74 Andrzej H. Jasiński
Akcja: innowacja

Ludzie i style

- 76 Agnieszka Rodowicz
Chleb rzemieślniczy
- 79 Marcin Piątek
Podzielona Łódź futbolowa

Kultura

- 88 Piotr Sarzyński
Inspirujące choroby twórców
- 92 Violetta Krasnowska
Jak przegrywa minister Gliński
- 96 Marcin Zwierchowski
Hellboy: Piekielny Chłopiec
- 99 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 100 **Antonia Lloyd-Jones** o tym,
jak tłumaczy się polskie książki

Na własne oczy

- 108 Wojciech Leliński
Grand Press Photo
– najlepsze z najlepszych

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 84 Afisz
- 102 Chutnik i Plebanek
- 103 Passent
- 104 Hartman
- 105 Tym
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy
- 114 Polityka i obyczaje

25 lat za sterem
POLITYKI



21 MAJA 1994 R. JERZY BACZYŃSKI ZOSTAŁ REDAKTOREM NACZELNYM POLITYKI. GRATULUJEMY WYTRWAŁOŚCI, BO Z NAMI NIE JEST ŁATWO. ZESPÓŁ



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Dawanie w tubę

W napiętej, histerycznej atmosferze wywołanej filmem braci Sekielskich ulgę przyniosą słowa rozsądku wypowiediane przez autorytety takie jak Jacek Saryusz-Wolski, „jedyńka” na warszawskiej liście PiS w eurowyborach. Zdaniem tego polityka wbrew temu, co na polityczne zamówienie usiłują nam wmówić Sekielscy, okropne zjawisko pedofilii występuje w Kościele śladowo i nie ma się czym podniecać. „To problem wydumany. Specjalnie wymyślony, żeby jątrzyć”, wyjaśnia na antenie TVP, uspokajając, że w ogóle nie jest to „temat do takiej gorącej debaty i oskarżeń”. Saryusz-Wolski tłumaczy, że chodzi o prymitywną wrzutkę mającą zablokować dyskusję o rzeczywistych problemach. Z drugiej strony, jego wypowiedź o wydumanych problemie pedofilii w Kościele może wskazywać na to, że on sam ma ze sobą jakieś rzeczywiste problemy. Moim zdaniem dobrze, że się z tymi problemami nie kryje i je nam sygnalizuje, nie bacząc, że naraża się na śmieszność i kpiny. Na szczęście sprawa wrażenie polityka, którego żadne kpiny nie powstrzymają przed ujawnianiem problemów wydumanych w celu jątrzenia, tak jak nie powstrzymały go przed byciem kandydatem polskiego rządu na szefa Rady Europejskiej w wyborach zakończonych pamiętnym zwycięstwem 27 do 1. Ktoś musiał



to zwycięstwo dla Polski odnieść, Saryusz-Wolski odważnie wziął to na siebie i chce powiedzieć, że kpiny są w tym momencie nie na miejscu.

Profesor nauk technicznych Jan Duda, ojciec prezydenta RP, na podstawie tego, że filmu Sekielskich nie obejrzał, również uważa, że sprawy w nim przedstawione „to sztucznie wytworzony problem”. Niewykluczone, że wrogom Kościoła chodzi o odwrócenie naszej uwagi od osiągnięć rządu i prezydenta, np. od ujawnionego przez Beatę Szydło faktu, że nasza gospodarka jest większa od szwedzkiej. „Ci wrogowie mają tubę, więc dzisiaj korzystają z niej”, wyjaśnia Jan Duda, deklarując, że mimo wszystko film Sekielskich obejrzy, bo lubi „analizować zjawiska”.

Powiem jasno: popełniłby w ten sposób duży błąd, bo uważam, że analizowanie sztucznie wytworzonych przez Sekielskich zjawisk to zawracanie głowy i strata czasu. Lepiej ten czas poświęcić na analizę zjawisk autentycznych, przez nikogo niewytworzonych, choćby takich jak zasada działania wspomnianej przez Jana Dudę tuby czy kwestia uparte dmuchania w nią przez wrogów Kościoła. A najlepiej w ogóle dać sobie spokój z analizowaniem i po prostu poczytać ciekawą książkę albo posłuchać dobrej muzyki. Ewentualnie samemu dać sobie w tubę.

Czego bardziej chcemy



Jerzy Baczyński

Już za chwilę poznamy wyniki – drugich, z czterech kolejnych – wyborów. Prognozy są sprzeczne, więc i emocje będą duże. Nie zamierzamy Państwa ani specjalnie przekonywać do udziału w głosowaniu, ani namawiać do poparcia proeuropejskich formacji – akurat wobec czytelników POLITYKI byłoby to, jak miernie, nietaktem. Ale generalnie eurowybory są wyjątkowo trudne; dotąd (głosujemy czwarty raz) frekwencja nie przekroczyła 25 proc., co tylko potwierdza, że wyborcy je lekceważą. Nawet można zrozumieć dlaczego: kompetencje Parlamentu Europejskiego są raczej mało rozpoznane; gorzej zorientowani uważają, że to po prostu tłuste synekury dla polityków; z kolei bardziej zaznajomieni wiedzą, że w Unii wciąż kluczowe decyzje i tak podejmują rządy, a nie europosłowie. Wreszcie, my w Polsce wylaniamy ledwo 51-osobową delegację do 751-osobowej Izby, z czego i tak duża część, czyli europosłowie tzw. prawicy, sami się tam zmarginalizują w jakichś mniejszościowych, eurosceptycznych klubach. To paradoks, że realnie waga tych wyborów nie jest oszałamiająca – i tu intuicja nie myli – ale politycznie i symbolicznie na odwrót – ogromna.

Wymiarze europejskim wynik polskiego głosowania będzie bardzo ważnym sygnałem dla większości państw Unii, czy wciąż warto czekać na powrót „Polski Buzka i Tuska”, czy już raczej godzić się z Polską Kaczyńskiego. Praktycznie może to oznaczać, w przypadku przegranej PiS, np. odłożenie nominacji dla nowego polskiego komisarza w UE, tak aby kandydaturę zatwierdzono już po październikowych sejmowych wyborach. Chadeacy i socjaldemokraci – a dziś nie ma wątpliwości, że wciąż będą w PE stanowić większość – mogą też „czekać na Polskę” z ostatecznymi decyzjami w sprawie budżetu na następne lata, powiązania wypłat z oceną stanu praworządności w Polsce, wstrzymywanie się (gdyby perspektywa zmiany władzy w Polsce nabrała prawdopodobieństwa) z uzgodnieniami różnych polityk sektorowych. Więc wybory 26 maja, traktowane dosłownie jako europejskie, mają znaczenie. Ale oczywiście ważniejszy jest ich wymiar wewnętrzny.

Głosowanie majowe słusznie uważa się za „support” przed jesiennym starciem. W tym sensie teraz nie chodzi o PE, ale o KE. Po wyborach zadecyduje się zapewne przyszłość Koalicji Europejskiej, możliwość jej poszerzenia lub rozpadu, także polityczne losy obecnych przywódców opozycji, a więc i szanse zwycięstwa nad PiS jesienią. (Od razu polecam w tym numerze tekst Janickiego i Władyki, którzy prezentują autorską matrycę ułatwiającą odczytanie ostatecznego werdyktu elektoratu). Także dla partii władzy wynik wyborów to nie tylko kwestia prestiżu, lecz przede wszystkim krajowej rywalizacji z odbierającą jej głosy Konfederacją. Nie dziwi więc, że PiS rzucił już na te wybory

prawie wszystko, co miał. Na początku kampanii spodziewano się raczej sporów wokół tzw. polexitu, sądownictwa, suwerenności, może uchodźców, ale nie tego, że już w tej części sezonu politycznego władza obieca wyborcom kilkadziesiąt miliardów złotych do ręki. I że sięgnie po zestaw argumentów z piekła rodem.

Podczas ostatnich konwencji Jarosław Kaczyński już przechodził sam siebie, zbierając w garść wszystkie wypuszczane wcześniej, w tygodniowych dawkach, straszdyła. Że (jeśli PiS nie wygra) opozycja odbierze wszystkie hojne świadczenia, dzieci już od przedszkola będą poddawane seksualizacji, propagowana będzie pornografia, dopuszczone homoadopcje, ograniczona wolność w internecie, wprowadzona waluta euro (która ludziom przyniesie wzrost cen, a krajowi gospodarczą klęskę), będziemy płacić za niemieckie zbrodnie wojenne i oddawać Żydom majątki, zostaniemy zmuszeni do przyjęcia islamskich imigrantów, w polskich miastach powstaną wyjęte spod polskiego prawa „strefy szariatu” itd. Prezes PiS naprawdę to, i jeszcze wiele podobnych bredni, publicznie wygłaszał. I będzie je głosił do ostatniego dnia przed ciszą wyborczą. Opozycja przez całą kampanię miała problem, co z tym robić. Ignorować? Polemizować? Pewnie najlepiej było obracać w żart (jak zrobił to Tusk, który wołę zaprowadzenia „szariatu” aluzjnie przypisał ajatollahom-prezesom), ale z drugiej strony taka metoda zmieniałyby, skądinąd poważne, wybory w kabaret, dodatkowo zniechęcając do brania w nich udziału.

Dopiero w ostatnich dniach za sprawą filmu Sekielskich opozycja znalazła swoje poważne, autentyczne racje i emocje. Polityczny sojusz PiS z Kościołem – o czym pisaliśmy i do czego wracamy w tym numerze – nagle stał się dla partii rządzącej obciążeniem, a pospieszne próby przykrycia afery, choćby poprzez absurdalne zaostrenie całego Kodeksu karnego, tylko pogłębiały wrażenie nerwowości, nawet paniki. Nieoczekiwana zapowiedź wprowadzenia zasiłków dla dorosłych niepełnosprawnych, co PiS wcześniej brutalnie odrzucał, sugeruje także, że zaczęły się sypać sondáže. Oczywiście, że dyskusje o pedofilii w Kościele katolickim, które zdominowały końcówkę kampanii, trudno uznać za klasyczny temat europejski. Ale tym razem, mam wrażenie, Polacy intuicyjnie wyczuli, iż tu gdzieś leży istota sporu między PiS i opozycją, że wreszcie w tej kampanii rozmawiamy o naszym rzeczywistym miejscu w Unii i współczesnym świecie. Że jest co i po co wybierać.

Znany polsko-niemiecki publicysta Klaus Bachmann, poproszony przez nas, aby popatrzył na polski spór polityczny z perspektywy europejskiej, pisze (s. 32), że daje się on sprowadzić do kulturowego starcia między – wieś, gdzie istotnym wyróżnikiem jest właśnie stosunek do religii, Kościoła, tradycji, społecznej hierarchii. Od lat szukamy kolejnych nazw i pojęć opisujących polityczny i mentalny podział Polski i zawsze układa się to według podobnej linii: świeckość – klerykalizm, progresywizm (jak mówi Biedroń) kontra konserwatyzm, pluralizm – jedność narodowa, samorządność – centralizm, rządy prawa – rządy autorytetu, wolność vs. „porządek”; a bardziej złośliwie i stronniczo: „Zachód” kontra „zastój”, otwartość kontra swojskość. Dyskusja o wzajemnym stosunku państwa i Kościoła znakomicie te spory ogniskuje.

Powtórzmy: 26 maja nie będziemy wybierali tylko europosłów; przybliżymy się do odpowiedzi na pytanie, jakiego społecznego porządku, jakiego kraju, chcemy dla siebie bardziej.





Marsz z Tuskiem

Szef Rady Europejskiej, byli prezydenci, samorządowcy i liderzy KE podczas sobotniego marszu Polska w Europie.

Głosy są już podzielone, nikogo się nie przeciągnie, chodzi tylko o to, aby zmobilizować swój elektorat do pójścia na wybory i zdemobilizować wyborców przeciwnej strony – takie przekonanie panuje zarówno po stronie PiS, jak i Koalicji Europejskiej. Stąd na finiszu kampanii do Parlamentu Europejskiego liczą się tylko emocje, które, skutecznie podgrzane, mają przełożyć się na frekwencję podczas głosowania 26 maja. Mocnym akordem kampanii KE był sobotni marsz Polska w Europie, a przede wszystkim antypisowskie wystąpienie szefa Rady Europejskiej.

„Nie możecie zostawić losu naszych dzieci i naszych wnuków w ich rękach. Nasze dzieci i nasze wnuki nigdy nam tego nie wybaczą. Idźcie do zwycięstwa!” – mówił Donald Tusk. Miał zarazem świadomość, że tych, którzy ze stołecznego pl. Bankowego wraz z przedstawicielami KE, byłymi prezydentami i samorządowcami przeszli na pl. Konstytucji, przekonywać o ważności wyborów nie trzeba. Dlatego apelował do tych, którzy „dobrze życzą Polsce w UE”, ale wahają się, na kogo oddać swój głos: „Proszę, nie ryzykujcie tej przyszłości”. I dodawał: „Europa to różnorodność, Europa to zjednoczenie w różnorodności, Europa jest trochę jak Koalicja Europejska”.

Prawica natychmiast wykorzystała wystąpienie Tuska do kolejnej napaści na niego – pisowski neofita Jacek Saryusz-Wolski zarzucił szefowi RE, że „gwałci ducha Traktatu i „szkodzi Polsce” (TVP). Ale te ataki Tusk miał

wkalkulowane. Władysław Kosiniak-Kamysz zaraz po marszu tłumaczył, że nie jest zdziwiony tak jednoznacznym wystąpieniem i poparciem KE: Bo: – *Sytuacja jest zerojedynkowa*. Zaangażowanie Tuska było jednak pewnym zaskoczeniem, także w samej PO – jeszcze nie tak dawno nie przewidywano nawet jego udziału w marszu. Niektórzy politycy KE co prawda obawiali się, że jego przemowa będzie utrzymana w „pojedynczym” duchu, który towarzyszył wykładowi na UW – co osłabi morale i podważy polaryzacyjną strategię, która obrała KE (podobnie zresztą jak PiS) – jednak Tusk czytelnie wyłożył, jaka jest stawka tegorocznych wyborów i na czym polega hipokryzja obecnej ekipy rządzącej. (Wbrew temu, co głoszą pisowscy akolici – nie zabraniają mu tego ani Traktat o UE, ani Kodeks etyki).

Pozwolił sobie też na parę złośliwości pod adresem Jarosława Kaczyńskiego: „Szariat to mniej więcej w praktyce państwo wyznaniowe. Autor tych słów (...), jak mówi, że przed czymś chce bronić, to z reguły o tym marzy. (...) W Europie widzę bardzo wielu kandydatów na takich lokalnych wodzów, na świecie różnie ich nazywają, jeden się nazywa prezes, drugi ajatollah, ale różnica jest relatywnie nieduża”.

Majowe marsze opozycji stały się już pewną tradycją. W tym roku uczestników było mniej niż w ubiegłych latach – co tłumaczono i brzydką pogodą (na półtorej godziny przed rozpoczęciem

w Warszawie lało), i mniejszym zainteresowaniem tematyką europejską. Także tym razem duże rozbieżności dotyczyły frekwencji: według ratusza szacowanej na 45 tys., według policji – na 7 tys. Przewidując to, Marek Borowski stanął na podwyższeniu i sam policzył uczestników – według jego rachunków było ich ok. 25 tys. Wśród nich nie zabrakło kontrmanifestantów: aktywistów z grupy Dumni i Wściekli, którzy nieśli m.in. transparent: „Małżeństwa, adopcje, prawa LGBT+”; co – jak łatwo można było przewidzieć – propaganda PiS błyskawicznie wykorzystała. Zdjęcie liderów KE ze wspomnianym napisem w tle posłużyło do ataków na opozycję i straszenia „homoadopcjami” oraz związkami partnerskimi.

Co ciekawe, podczas marszu widać też było baner LPR – wciąż istniejąca partia, która 15 lat temu protestowała przeciwko wejściu do UE, dziś szła ramię w ramię z euroentuzjastami. I nie był to happening – po powstaniu KE Liga wyraziła chęć dołączenia do obozu antyPiSu. Na to jednak nie było zgody, więc poprzestała na uchwałę popierającej Koalicję – bo „zawłaszczające Państwo działania PiS wskazują jednoznacznie, że Kaczyński dąży do dyktatury, czego oczywistym efektem musi być polexit”. Jak już byli koalicjanci PiS się boi, to chyba za Donaldem Tuskiem można powiedzieć: „ryzyko jest naprawdę serio”. (MLV)

O kampanii PiS czytaj s. 26.



W berecie i rajstopach

Czy z arytmetycznej przewagi partii prokonstytucyjnych wyniknie jesienią coś pozytywnego?

Niewielki odstęp czasowy między wyborami europejskimi a krajowymi sprawił, że wynik wyborów do Parlamentu Europejskiego traktowany jest jako zapowiedź rezultatu wyborów jesiennych do Sejmu. Oczywiście jakiś związek tu jest, ale bez przesady. Rozdygotane wypowiedzi w stylu: „Koalicja Europejska musi wygrać choćby o pół procenta, inaczej wszystko stracone” – to klasyczny strzał w stopę. Pompowanie balonu może skończyć się fatalnie, bo jeśli KE przegra o jeden czy dwa procent, to nie pozostanie nic innego, jak zakończyć tę przygodę i rozejść się do domów w atmosferze wewnętrznych kłótni i wzajemnych oskarżeń. Pisałem w poprzednim felietonie (POLITYKA 16), że w każdej partii tkwi pierwiastek samobójczy – i on się tu właśnie objawił. Jesteśmy już na finiszu kampanii, w najbliższy poniedziałek zaczną się spory o ocenę wyników wyborów, warto więc przypomnieć kilka liczb i faktów.

Najpierw pytanie: co jest dzisiaj główną linią podziałów politycznych? Podatki? Wydatki socjalne? Podział na lewicę, prawicę i liberałów? Otóż nie – ten podział dziś to z jednej strony antykonstytucyjny, eurosceptyczny i autorytarny PiS, a z drugiej broniące konstytucji i demokracji proeuropejskie partie: PO, PSL, SLD, Nowoczesna oraz Wiosna i Razem. A jaki jest układ sił między tymi obozami? W wyborach w 2015 r. PiS uzyskał 37,6 proc. głosów, natomiast wymienieni przeciwnicy (bez nieistniejącej wtedy Wiosny) – 47 proc. Dziś te proporcje są podobne. Prawo i Sprawiedliwość, dzięki dobrej koniunkturze w gospodarce i szczodrym wydatkom budżetowym, utrzymało swoje poparcie, opozycja również. Przewaga KE, Wiosny i Razem nad PiS (średnia z trzech ostatnich sondaży, po odrzuceniu skrajnych) wynosi 7 pkt proc. I jest tylko jedna, ale ważna różnica – powstała partia Biedronia, która w niewielkim tylko stopniu sięgnęła po nowych wyborców, głównie zaś odebrała głosy Koalicji Europejskiej. A że poparcie dla Wiosny oscyluje w granicach 7–9 proc., jasne się staje, że pozbawiona tych głosów KE może przegrać w niedzielę z PiS – i nie będzie to niczyją winą ani tragedią! Nie przesądzaj także wyniku wyborów jesiennych – również wtedy, gdyby (co bardzo by mnie ucieszyło) Koalicja wyprzedziła PiS o cały jeden procent.

Zasadnicze pytanie jest zupełnie inne, a mianowicie: czy z tej arytmetycznej przewagi partii prokonstytucyjnych wyniknie coś pozytywnego w wyborach parlamentarnych? Są tu dwa znaki zapytania: po pierwsze, czy koalicja się nie rozpadnie, i po drugie, czy jest szansa na porozumienie z Wiosną. W kwestii pierwszej chodzi oczywiście o postawę PSL, który wprawdzie zdecydowanie wstąpił do koalicji, ale równie zdecydowanie może z niej wystąpić. Rozumowanie Marka Sawickiego – głównego (wraz z Waldemarem Pawlakiem) przeciwnika udziału PSL w Koalicji – jest bowiem następujące: gdybyśmy wystartowali osobno i uzyskali choćby 5,5 proc. głosów, to trzy mandaty byłyby pewne, jeśli natomiast w ramach Koalicji nie uzyskamy tych trzech mandatów, to trzeba się z niej wycofać i na jesieni startować pod własnym szyldem.

Rozumowanie z egoistycznego punktu widzenia jest poprawne, jest w nim tylko jedna pułapka: a co by było, gdyby teraz i za parę

miesięcy PSL, idąc osobno, dostał – co jest całkiem możliwe – nie 5,5 proc., ale 4,95 proc. głosów, w konsekwencji nie miał żadnych posłów ani w Europie, ani w kraju, i utworzył w ten sposób PiS-owi drogę do kolejnej kadencji? Oczywiście nie wiem, która opcja przeważa w PSL, jeśli tych trzech mandatów nie będzie, lepiej więc, żeby były. Wszystko zależy od wyborców. Dlatego nieśmiało proponuję, aby wyborcy zdecydowani głosować na Koalicję Europejską, ale mający problem, przy jakim nazwisku postawić krzyżyk, postawili go przy nazwisku kandydata PSL.

Drugi znak zapytania to droga, jaką pójdzie Biedroń. Jeśli sondażowe poparcie dla Wiosny się utrzyma, to bez Biedronia nie uda się uzyskać większości parlamentarnej w przyszłym Sejmie. Dlatego już w najbliższy poniedziałek partię Koalicji Europejskiej powinny zaprosić Wiosnę do rozmów i ustalić, które punkty ich programów są zbieżne, więc po wyborach mogłyby być wspólnie i szybko realizowane. Do znudzenia powtarzam, że takim obszarem, na którym odnajduje się cała opozycja prokonstytucyjna, są kwestie ustrojowe, czyli przywrócenie w Polsce podstawowych zasad i wartości demokratycznych. Niestety, lata mijają, a żadna z partii opozycyjnych nie powiedziała, jak chce naprawić Trybunał Konstytucyjny, sądy, prokuraturę, służby specjalne, media publiczne, służbę cywilną, zarządzanie spółkami Skarbu Państwa itp. Brak takiego programu nie tylko osłabi opozycję przed wyborami („oni chcą, żeby było, jak było”), ale w przypadku zdobycia większości spowoduje spory i chaos legislacyjny, co zwiększy szanse Andrzeja Dudy na ponowny wybór. To już ostatni dzwonek, aby tego scenariusza uniknąć.

Wnieustającym konkursie „Za co kochamy ministra Brudzińskiego” wyraźną przewagę zdobywa niebanalny język, jakim pan minister porozumiewa się z narodem. „Potrzebne nam to było, jak świnia siodło” – to po wybuchu arcydzieł w NBP. Plastyczny obraz osiodłanej świni działał na wyobraźnię i naród od razu domyślił się, że minister wypowiada się krytycznie, może nie o samych praktykach stosowanych przez prezesa NBP, ale na pewno o ich ujawnieniu. Nie minęło kilka tygodni, a spragnieni nowych podnieć leksykalnych obywatele otrzymali trudniejsze zadanie. Ostro krytykowany za wylądowanie helikoptera, którym leciał, na boisku piłkarskim i przerwanie meczu młodych piłkarzy w Choszczynie, pan minister podwyższył poprzeczkę. Stwierdził, że nic o meczu nie wiedział, i dodał: „Nie mam tak zrytego beretu, żeby przerywać mecz młodzieży”. Fakt, że beret Joachima Brudzińskiego nie jest zryty, musi cieszyć, pytanie tylko, czy ta wysoka samoocena jest prawdziwa? Gdy za domalowanie Matce Boskiej tęczy policja o 7 rano wkroczyła do mieszkania Elżbiety Podleśnej, chciała ją zatrzymać na 24 godziny, zabrała jej biustonosz i próbowała wejść w posiadanie jej rajstop, pochwalił funkcjonariuszy za te działania mógł tylko ktoś z niezłego zrytym beretem. Czy właścicielem tego beretu był pan minister Brudziński? Wiem, ale nie powiem, bo nie lubię być budzony o 7 rano. Na wszelki wypadek przygotowałem jednak biustonosz i parę rajstop, które niedoinwestowanej policji oddam bez zbędnej szarpaniny.

Ziobro zaostrza kary

O bóz wspierania pedofilów”. „Opinia publiczna żąda zaostrzenia – i my to robimy”. „Wydlubuje się oczy w trakcie gwałtu, łamie kończyny (...). Dzisiaj grozi za to kara jedynie 15 lat” – takie argumenty za przyjęciem projektu zmiany Kodeksu karnego przedstawiał w Sejmie Zbigniew Ziobro. Wszystko pod pozorem walki z pedofilią.

Kodeks karny, który Sejm właśnie zmienił, przygotowywano osiem lat. Jego fundamentalna zmiana zajęła politykom PiS 48 godzin. Decyzją marszałka pominięto tryb wymagany regulaminem Sejmu dla zmiany kodeksów: posłowie, zamiast minimum 14 dni, dostali kilkanaście godzin (łącznie z nocą) na zapoznanie się ze zmianami obejmującymi kilkadziesiąt artykułów.

Rewolucja dotyczy filozofii karania: na pierwszym miejscu sąd ma mieć teraz wzgląd już nie na to, żeby kara nie przekroczyła stopnia winy, ale żeby miała odstraszające działanie na społeczeństwo. Radykalnie zaostrzono kary za kilkadziesiąt przestępstw, wprowadzono karę pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 30 lat, dożywocie bez możliwości przedterminowego zwolnienia – co w kilku wyrokach Trybunał Praw Człowieka uznał za karę łamiącą zakaz okrutnego traktowania i zasadę poszanowania godności ludzkiej. Znacznie zaostrzono też możliwości uzyskiwania warunkowego zwolnienia i zawieszania kar.



© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Podniesiono dolne zagrożenia kar – co może uniemożliwić sądowi wydanie kary nieprzekraczającej stopnia winy. Tak było w PRL, gdy przy recydywie za najdrobniejszą kradzież sąd musiał wymierzyć minimum trzy lata więzienia. A wszystko to w sytuacji, gdy przestępczość spada, miejsc w więzieniach brakuje, a średnia wysokość orzekanych kar systematycznie rośnie. Gdy Polska, nie licząc Rosji czy Białorusi, przoduje w Europie liczbą więźniów na 100 tys. mieszkańców.

Projekt był gotowy od stycznia, ale został poddany totalnej krytyce ze względu na nieracjonalność i sprzeczność z europejskimi standardami. Więc PiS przepchnął go przez Sejm, korzystając z oburzenia opinii publicznej po filmie braci Sekielskich. Zmiany, które wprowadzono, tego problemu nie tylko nie rozwiązują, ale też nie dotyczą. Zaostrza się przede wszystkim prawną reakcją na gwałt na dziecku, a księża najczęściej zmuszają dzieci do tzw. innej czynności seksualnej.

Nie dotknięto też głównej przyczyny szerzenia się pedofilii wśród księży: ukrywania i ochrony sprawców przez kościelną hierarchię. Skoro zaostrzono prawo, księża będą jeszcze szczelniej i usilniej chronieni przed odpowiedzialnością. W ten sposób pisowska nowelizacja de facto przyczyni się do wzrostu zagrożenia dzieci.

Także słynny rejestr pedofilów w części jawnej nie zawiera nazwisk księży, bo obejmuje tylko sprawców gwałtów, nie zaś innych czynności seksualnych. Podlega rządowi prokuratura, mając informacje z opublikowanego zimą raportu Fundacji Nie lękajcie się o biskupach ukrywających księży pedofilów, może ich ścigać z czterech przepisów Kodeksu karnego: za narażenie dzieci na ciężki uszczerbek na zdrowiu (także psychicznym), nieudzielenie pomocy w sytuacji takiego zagrożenia, ułatwienie dokonania przestępstwa przez zaniechanie przeciwdziałania i niedopełnienie obowiązku zawiadomienia o przestępstwie. Tymczasem w dzień po udostępnieniu filmu Sekielskich w sieci członkowie rządu brali udział w mszy koncelebrowanej m.in. przez biskupów wymienionych w filmie jako sprawcy ukrywania księży pedofilów. PiS zamiast rozwiązać problem – stworzył nowy. Dokonał gwałtu na prawie i zasantażował opozycję – część klubu PSL-UED głosowała za, reszta (PO-KO i N) wyjęła karty do głosowania. Za kilka tygodni nikt nie będzie pamiętał płomiennych mów przeciwko zmianom Ziobry. Zostaną wyniki głosowania. (ES)

Facebookowa kampania

Posłom nie spieszy się do uregulowania prawa o prowadzeniu kampanii w internecie, choć już osiem miesięcy temu PKW zwracała uwagę, że powinni się tym zająć (rozmowa z byłym szefem PKW Wojciechem Hermelińskim na s. 29). Jednak politycy na tej samowolce korzystają. Facebook pod polityczną presją wywołaną m.in. przez Parlament Europejski w połowie kwietnia udostępnił na terenie całej UE narzędzia, które dają lepszy wgląd w to, kto i za jakie pieniądze przekonuje do poparcia danego polityka lub zniechęca do głosowania na niego. Teraz, żeby wykupić polityczną kampanię promocyjną, trzeba przejść autoryzację, przy której wymagany jest dokument tożsamości (nikt spoza Polski nie może już płacić za promowanie postów politycznych w naszym kraju). Jest też opcja sprawdzenia, kto zapłacił za reklamę, jaki budżet na nią wydał, do kogo ją adresował (płeć, wiek), w którym miejscu i do ilu osób dotarła. FB zachęca, aby zgłaszać do niego reklamy o treściach politycznych, do których nikt się nie przyznaje – będą usuwane.

Sprawdziliśmy, ile największe komitety wydały na kampanie na FB przez tydzień do poniedziałku 20 maja. **KE – ponad 127 tys. zł** (z tym, że w koalicji jest aż pięć partii). I tak: reklama, w której opozycja przypomina, że Stanisław Piotrowicz „bronął swoimi wypowiedziami księdza z Tyławy skazanego za pedofilię”, skierowana była głównie do mężczyzn w wieku od 35 do 64 lat. A post „Poznaj kandydatów KE w Warszawie” promowany był w większości wśród kobiet w wieku 35–64 lata (budżet do 5 tys. zł). Natomiast reklamę „Termin oczekiwania do specjalisty nie dłuższy niż 21 dni” zaadresowano w większości do kobiet w wieku od 55 lat,

bo według KE to właśnie panie są tym tematem najbardziej zainteresowane. **PiS przez tydzień wydał 43 tys. zł** (w tym po 4 tys. na indywidualne kampanie Beaty Mazurek i Anny Fotygi). Partia rządząca może sobie jednak pozwolić na mniejsze wydatki, ponieważ ma do dyspozycji media publiczne. Większość postów PiS jest mobilizująca. W ostatnią niedzielę wykupiono reklamę: „26 maja obroń swoje prawo. Głosuj na listę nr 4 Prawo i Sprawiedliwość”. Skierowano ją do kobiet między 45. a 64. r.ż. W postach PiS widać też zaciętą walkę ze skrajnie prawicową Konfederacją. Posty, w których władza straszy euro i nielegalną imigracją, kieruje do młodych mężczyzn (18–34 lata), czyli do elektoratu konfederatów. Ci z kolei na promocję w sieci – gdzie bardzo aktywni są ich wyborcy – wydali **ponad 88 tys. zł**. Spot „Stop dla obcych roszczeń” także celował do mężczyzn w wieku 18–34 lata. Z kolei **Wiosna przez tydzień na promocję na FB wydała 54 tys.** Również partia Biedronia w większości kieruje reklamy do elektoratu 18–34, przede wszystkim jednak do kobiet.

Kampanię wyborczą mogą prowadzić wyłącznie komitety wyborcze i tylko one mogą opłacać np. spoty, wydruk plakatów czy promowanie postów na FB. Wszystkie te materiały muszą być podpisane. Prowadzenie i opłacanie działań kampanijnych przez inne podmioty – w tym także partie i polityków – jest traktowane przez PKW jako obejście przepisów o limitach wydatków. Łamanie tych przepisów wiąże się z odpowiedzialnością karną, może być podstawą do odrzucenia sprawozdania finansowego i utraty subwencji. Przeglądając strony facebookowe kandydatów, można zauważyć, że wielu nie przestrzega tego zakazu – w tym Joachim Brudziński, który w ostatni weekend sam opłacił promocję swoich pięciu ewidentnie wyborczych postów na FB. (DĄB.)



Haitańska siostra

Paryż nie jest jedynym miastem, gdzie katedra Notre Dame czeka na odbudowę. Czy Francuzi również za nią powinni zapłacić?

Ta druga Dama, wzniesiona na przełomie XIX i XX w., leży w gruzach w Port-au-Prince, odkąd dziewięć lat temu Haiti nawiedziło trzęsienie ziemi. Zginęło wówczas ponad 300 tys. osób, a stolica kraju niemal zniknęła z powierzchni ziemi. Od tamtego czasu wokół gruzów katedry nic się nie działo, bo biedne Haiti ma znacznie pilniejsze potrzeby: pomoc inwalidom, powszechne niedożywienie, brak mieszkań. Poza tym Haitińczycy nie mają jednoznacznego stosunku do tej świątyni: przez wiele dekad była symbolem francuskiego kolonializmu i choć katolicyzm wyznaje 99 proc. Haitińczyków, to – jak sami twierdzą – 100 proc. z nich jest wyznawcami voodoo.

Pożar paryskiej katedry wywołał jednak dyskusję o odbudowie haitańskiej siostry. Jej inicjatorką jest znana amerykańska dziennikarka Amy Wilentz, która od 30 lat pisze o Haiti, m.in. dla „New Yorkera”. Zdaniem Wilentz haitańską katedrę powinni odbudować Francuzi, jeśli tak hojnie leżą na odbudowę swojej Damy. Przypomina, że w 1804 r. Haiti było pierwszą czarną republiką na świecie i jedyną, w której powiodło się niewolnicze powstanie. Ale później państwo to przez wiele lat musiało płacić Francji reparacje, które w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze byłyby warte 21 mld dol. Za co? Za utraconych przez Francję niewolników i plantacje cukru. To m.in. z pieniędzy pochodzących z takich zamorskich plantacji Francuzom udało się wyremontować paryską Notre Dame w XIX w.

Ibizagate

Czy upadek **Heinza-Christiana Strachego** oznacza tarapaty dla reszty europejskich prawicowych populistów? Strache 18 maja zrezygnował z funkcji wicekanclerza Austrii i lidera radykalnie prawicowej Partii Wolnościowej (FPÖ), współtworzącej z konserwatystami koalicję rządową. Dziennik „Süddeutsche Zeitung” i tygodnik „Der Spiegel” opublikowały nagranie jego rozmów z młodą kobietą podającą się za krewną rosyjskiego oligarchy. Rozmawiali na Ibizie w lipcu 2017 r., na tarasie willi z zamontowanymi podsłuchami, źródło nagrań pozostaje nieznane. Rosjanka chciała inwestować w Austrii setki milionów euro, a Strache snuł plany wykorzystania tych funduszy jako dźwigni zwiększającej szanse wyborcze FPÖ, np. przez przejęcie kontroli nad wpływowym tabloidem. Teraz Austrię czekają przedterminowe wybory.



Europejscy populiści różnymi kanałami biorą pieniądze z Rosji i naginają europejskie wartości tak, żeby służyły jej interesom. I to wiadomo od dawna, ale nikogo nie złapano w tak widowiskowy sposób. Przy czym austriaccy komentatorzy uczulają, by w sytuacji Strachego – a czekają go pewnie zarzuty prokuratorskie – nie widzieć początku końca reszty populistów na kontynencie. Nie znikają bowiem powody, dla których Austriacy głosują na FPÖ, a Francuzi na Marine Le Pen. To kiepski stan gospodarki, migracja i ogólne wrażenie o stanie Europy i kondycji Zachodu. Tradycyjne partie, broniące demokratycznych porządków, nie potrafią przebić na tych polach prostych recept populistów, a ci w uszach wielu wyborców nadal brzmią przekonująco. Nawet jeśli wychodzą na hipokrytów.

Umowa zombie

Premier Theresa May jeszcze nie zrezygnowała z przepchnięcia swojej umowy brexitowej przez parlament. Odrzuć ją już trzykrotnie dokument, który reguluje warunki wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, jak zombie ma powrócić raz jeszcze w przyszłym tygodniu. Propozycja May nie zmieniła się, bo też nie mogła bez zgody Brukseli. Ale premier liczy na to, że zmieni się okoliczności. W czwartek, 23 maja, Brytyjczycy będą głosować w eurowyborach, w których mieli już przecież nie brać udziału. Ich gniew skupi się prawdopodobnie na rządzących konserwatystach, którzy nie potrafili dotąd zrealizować brexitu. Sondaż sę dla nich koszmarny – niektóre dają im zaledwie 9-proc. poparcie, z pewnością zaliczą



najgorszy wynik w historii. W notowaniach prowadzi utworzona zaledwie miesiąc temu Partia Brexit Nigela Farage'a.

Premier May liczy więc, że w szoku – kilka dni po takiej klęsce – Partia Konserwatywna w końcu poprze jej umowę i wówczas Wielka Brytania wyjdzie z Unii z końcem czerwca. Ale według większości analityków to się nie uda. Jeśli więc z pomocą nie przyjdzie jej znaczna część Partii Pracy, która wyraźnie traci głosy na rzecz prounijnych Liberalnych Demokratów, to Wielka Brytania wyjdzie z Unii z hukiem i bez umowy, zgodnie z obecnym planem, czyli 31 października. Tu tli się dla May jakaś nadzieja, bo przejęty sondażami laburzystów Jeremy Corbyn coraz wyraźniej mówi, że zgodzi się na jej umowę, ale pod warunkiem, że później zaakceptują ją Brytyjczycy w drugim referendum. Brexitowy cyrk więc tak szybko się nie skończy.

Kuba racjonuje

Uderz w Wenezuelę, a oberwie Kuba. Po długich tygodniach kolejek, gorączki w sklepach i powrotu drobnych spekulantów, władze zdecydowały się na racjonowanie podstawowej żywności i środków higieny. Chodzi o ryż, jajka, fasolę, kurczaki, wędliny, mydło, pastę do zębów i proszek do prania. „Aby było sprawiedliwie i rozsądnie” – jak tłumaczyła minister handlu Betsy Díaz Velázquez, pocieszając, że nie powinno za to zabraknąć oleju do smażenia. 10-milionowa Kuba musi sprowdzać dwie trzecie żywności, w tym nawet cukier i kawę, z których zawsze słynęła. Na co potrzeba rocznie 2 mld dol., które wcześniej pochodziły głównie ze sprzedaży ropy naftowej dostarczanej przez Wenezuelę. Ale, wiadomo, załamały się ceny ropy i wydobywanie w Wenezueli, a po empatycznym Obamie nastał jastrząb Trump. Częścią operacji obalania Maduro stała się blokada handlowa, a statki, które chciały wozic ropy Kubańczykom, zostały wpisane na czarną listę. Prezydent Trump zaostriżł też kurs jeśli chodzi o turystykę i inwestycje na Kubie. A jego wpływowi doradca John Bolton (patrz s. 52) zapowiedział, że po obaleniu



Maduro przyjdzie pora na Kubę. Kubańczycy przeżyli niejedne sankcje, mają instynkt przetrwania i sporo skorzystali na niedawnym ociepleniu: już co trzeci pracuje w drobnym sektorze prywatnym, sporo też było inwestycji w turystykę, zwłaszcza hiszpańskich. Kosmetycznie łagodniał też system, a prezydent już nie nazywa się Castro. Teraz kurs znów się zaostriż. Choć propozycję 91-letniego towarzysza Guillermo Garcíi Friasa, aby w zaistniałej sytuacji Kubańczycy zjadali strusie, krokodyły i szczurowate, spotkał wyłącznie internetowy wysyp memów. Kiedyś taka wolność była absolutnie nie do pomyślenia.



Maryja w wersji 2.0

W Niemczech trwa prawdziwy kościelny strajk kobiet. Zaczęło się w styczniu od protestu pięciu kobiet w parafii św. Krzyża w westfalskim Münster. Potem kobiecy ruch Maria 2.0 przerzucił się do Akwizgranu i Kolonii, docierając na katolickie południe Niemiec – do Monachium i Konstancji. W marcu Katolicka Wspólnota Kobiet (KFD) przekazała biskupom petycję podpisaną przez 30 tys. osób, domagającą się zniesienia celibatu i dopuszczenia kobiet do kapłaństwa. Po czym także Komitet Centralny Katolików (ZdK), skupiający świeckie organizacje katolickie, poparł postulat ruchu, który na najbliższym zjeździe katolików będzie miał swą reprezentację. A w czasie majowego protestu kobiet okrytych białymi

prześcieradłami przed katedrą w Münster ogłoszono nie tylko tygodniowy strajk kobiet w parafiach, ale także utworzenie w Ameryce Południowej pierwszej grupy ruchu Maria 2.0.

Bunt kobiet w niemieckim Kościele dodatkowo podsycił niedawny niejasny werdykt watykańskiej komisji ustanowionej trzy lata temu w sprawie diakonatu kobiet. W Münster tamtejsza teolożka Dorothea Sattler tłumaczyła protestującym, jakie są teologiczne podstawy dla diakonatu i wysławiania kobiet. Niemniej akurat papież-reformator Franciszek podtrzymuje kategoryczne „nie” ogłoszone w 1994 r. przez Jana Pawła II. Co prawda we wczesnym chrześcijaństwie były kapłanki, ale według watykańskiej komisji nie jest jasne, czy sprawowany przez nie urząd był równoznaczny z sakramentem kapłaństwa.

Wojny Huawei

Chiński gigant telekomunikacyjny Huawei trafił na listę firm, z którymi firmy amerykańskie mogą robić interesy tylko za każdorazową zgodą. Google szybko ogłosił, że dla Huawei może to oznaczać ograniczenia w dostępie do Androida. Rozporządzenie podpisane właśnie przez Donalda Trumpa umożliwia z kolei zakazanie stosowania chińskich technologii w amerykańskich sieciach telekomunikacyjnych. Dokument nie wymienia pod kogo został skrojony, ale i tak wiadomo, że rzecz dotyczy Huawei i budowanej sieci nowej generacji 5G. Wątpliwości nie miał sam koncern, który ostro zareagował na ten krok, a chiński ambasador w Londynie oświadczył w odpowiedzi, że „Chiny nie chcą wojny handlowej z Waszyngtonem, ale się jej nie boją i jak trzeba staną do walki”. Wcześniej zakazano stosowania sprzętu Huawei w administracji federalnej, a USA (i Trump osobiście) naciskają na sojuszników, żeby też zbanowali chiński koncern jako dostawcę technologii 5G. Dając do zrozumienia, że w przeciwnym razie Stany ograniczą im przekazywanie poufnych danych w kwestiach bezpieczeństwa. Z obawy, iż wyciekną do Chin. Do wspólnego frontu Amerykanie pozyskali Australię i Nową Zelandię, a Japonia wydała zakaz stosowania sprzętu Huawei w administracji.

Unia Europejska jest tradycyjnie podzielona. Niemcy są bardzo ostrożni, Francuzi bardziej otwarci, ale z zastrzeżeniami, a Wielka Brytania zaaprobowała technologię Huawei w budowie przyszłej sieci 5G. Najostrożniej może zareagować Holandia, gdzie właśnie wybuchł skandal z wielkim wyciekiem danych z jednej z trzech głównych sieci telekomunikacyjnych, w który najprawdopodobniej zamieszany jest Huawei (niewymieniany z nazwy). A ledwie miesiąc temu ASML, lokalny gigant informatyczny, zatrudniający na całym świecie 19 tys. pracowników, musiał przyznać, że chiński konkurent XTAL od lat wykradał mu sekrety technologiczne warte setki milionów euro.





Od 2015 r. nie ma już w Polsce normalnych, rutynowych wyborów.
Za każdym razem jest to batalia o wszystko.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Choć pojawiają się niezbyt mądre opinie, że trwa jałowa „walka dwóch plemion”, którą trzeba obejść, w istocie chodzi o zasadniczy konflikt o przyszłość kraju. Przed 2015 r. nie istniał spór ustrojowy, np. o Trybunał Konstytucyjny, o Sąd Najwyższy, pozycję samorządów, politykę historyczną, miejsce Polski w Unii, o prokuraturę, KRS czy o kwestię zaostrzenia ustawy aborcyjnej.

Także o media publiczne – przynajmniej nie w takim wymiarze jak teraz. To wszystko wydarzyło się po raz pierwszy za czasów PiS. Najbliższe wybory są drugie w decydującym cyklu, który rozstrzygnie o przyszłości kraju na lata. Jaki zatem jest stan rzeczy tuż przed 26 maja?



KAMPANIA Przed wyborami europejskimi sondażowa sytuacja jest niejasna. W lutym i jeszcze na początku marca wydawało się, że Koalicja Europejska dogania PiS; w kilku badaniach wyszła nawet na prowadzenie. Zbierała premię za zjednoczenie, pozostawało w pamięci zabójstwo prezydenta Gdańska, doszła afera Srebrnej. PiS był w defensywie trwającej jeszcze od wyborów samorządowych, spowodowanej klęską w dużych miastach. Potem jednak Kaczyński przedstawił kolejny socjalny plan, powstała Wiosna Roberta Biedronia, która podzieliła poparcie dla opozycji, pojawiły się wewnętrzne napięcia w ramach samej Koalicji, także w Platformie Obywatelskiej, zwłaszcza na tle ustalania list wyborczych, ale też programowe. PiS

szczególnie wytrwale próbował zachwiać pozycją PSL, z częściovym powodzeniem.

W efekcie przez wiele następnych tygodni Koalicja znalazła się wyraźnie pod notowaniami PiS. Jednocześnie Wiosna Biedronia, po imponującym starcie, zaczęła tracić poparcie. I jeśli na początku odebrała trochę wyborców Koalicji, to słabnąc, już ich nie oddawała. Zapewne uciekali do grupy „niezdecydowanych”. Wszystko to złożyło się na nieciekawą dla opozycji obraz: oto w tych podobno najkorzystniejszych dla liberalnych sił wyborach znowu ma wygrać partia Kaczyńskiego.

W końcówce kampanii niekorzystny dla sił proeuropejskich trend zaczął się trochę odwracać. Odbiła się znowu Wiosna, choć bez przesady – o 3–4 pkt proc., trochę wzmocniła się Koalicja, a PiS osiągnął pułap na poziomie ok. 38–40 proc. i już przestał zyskiwać. W niektórych badaniach zaczął nawet tracić. I chociaż tzw. piątka Kaczyńskiego miała – wbrew wielu komentarzom – spore marketingowe znaczenie, choćby dlatego, że prawdopodobnie zamortyzowała „dwie wieże” prezesa PiS, to nie gwarantuje rządzącemu obozowi wyborczego zwycięstwa. W dodatku pojawiła się konkurencja na prawicy w postaci Konfederacji, formacji bazującej na resentymencie, nacjonalistycznej retoryce i wątkach kryptoantysemickich. Kaczyński zawsze obawiał się, że ktoś go zajdzie z prawej strony, i próbował temu zapobiegać, ale to się nie udało.

W końcówce kampanii Kaczyński znalazł się w niekomfortowej sytuacji: z jednej strony musiał deklarować uczucie do Unii Europejskiej, aby walczyć z zarzutem dążenia do polexitu, a z drugiej mrugać okiem do wrogów Unii, aby ich wszystkich nie odebrała Konfederacja. Niewykluczone, że osłabienie kampanijnej dynamiki PiS w połowie maja było spowodowane właśnie tym rozwojem przekazów. Do tego doszła sprawa amerykańskiej ustawy 447, rzekomo wymuszającej m.in. na Polsce odszkodowania za mienie żydowskie. I w tym przypadku PiS musiał odpowiedzieć na zaczepki radykalnej prawicy, ryzykując nawet pogorszenie stosunków z USA oraz, rzecz jasna, z Izraelem.

Koalicja Europejska natomiast długo upajała się samym swoim powstaniem, a Grzegorz Schetyna odbierał gratulacje – skądinąd zasłużone, bo dokonał wiele na polu zjednoczenia opozycji. Jednak spowodowało to kampanię KE, brak było klarownych przekazów, „tematów tygodnia”, a PiS je nieustannie wrzucał: socjał, euro, LGBT, obrona Kościoła. Koalicja szukała sukcesu w starych tropach: łączność władzy, pensje w państwowych spółkach, polexit. Dopiero pod koniec kampanii złapała oddech, proponując debatę o służbie zdrowia czy o unijnych funduszach, których jest lepszym gwarantem niż PiS. Trochę zapewne pomogła aktywność Donalda Tuska, także sprawa tuszowania przez Kościół spraw księży pedofilów. Może dlatego notowania Koalicji przed wyborami znowu zbliżyły się do wyników obozu rządzącego.

Ale nie wiadomo, jak ten trend się rozwinie, o wszystkim zdecyduje to, jak wielu będzie wyborców. W sondażach deklarowana frekwencja przekracza za reguły 50 proc., a przypomnijmy, że w ostatnich wyborach europejskich wynosiła niespełna 24 proc. Nawet przyjmując, że te wybory mają wyższą temperaturę, jest bardzo mało prawdopodobne, aby sięgnęła 50 proc., już 40 proc. byłoby niezwykłym wynikiem. Zatem z tych, którzy dzisiaj jako uczestnicy badań wyznaczają sondażowy trend, ubędzie 10 proc. lub więcej. Pytanie więc brzmi: czyich wyborców w realu ubędzie więcej? Czy to mieszkańcy wsi i małych miast – a więc bardziej elektorat PiS – deklarują teraz na wyrost udział w wyborach, czy też wyborcy opozycji nie okażą się wystarczająco zdeterminowani? Odpowiedź na to pytanie zdecyduje o wyniku wyborów.

Dlatego w czasie całej kampanii główne formacje przede wszystkim mobilizowały swoje twarde elektoraty i próbowały osłabić motywację zwolenników strony przeciwnej. A to skomplikowany mechanizm, co widać choćby w przypadku aktywnego teraz wątku – sporu o Kościół na tle afery pedofilskiej. PiS wiele

zainwestował w rolę obrońcy Kościoła, co po filmie braci Sekielskich postawiło tę partię w trudnej sytuacji.

Ale nie brak opinii, że mogą być z tego dla władzy korzyści. Wobec ataków na kościelną hierarchię PiS może się przedstawić jako niezłomny obrońca wiary, którego nie zrażają „pojedyncze” przejawy patologii wśród księży. Politycy rządzący już głoszą hasło, że pod pretekstem walki z pedofilią „lewactwo” prowadzi wojnę kulturową i chce walczyć z religią jako taką. Dlatego, wracając do kwestii wyborczej mobilizacji, nie jest jasne, czy opozycji uda się wykorzystać politycznie to antyklerykalne wzmocnienie, czy też to PiS bardziej uaktywni prowincję pod hasłem „biją w nasz święty Kościół”. Przy takim nasileniu emocji jak w tej kampanii każde zdarzenie działa w obie strony, a efekt końcowy jest nieprzewidywalny.

Analizując zatem szczegółowo sondaże i dystansując się od tych, gdzie wyniki bardzo odbiegają od trendów wyznaczanych przez znane pracownie, wydaje się, że wciąż Koalicja Europejska jest nieco słabsza od PiS. Politycy opozycji liczą na „efekt Trzaskowskiego”, czyli nagły zwrot sytuacji w samym dniu wyborów, ale to zjawisko wystąpiło w Warszawie, która jest terenem nieprzeciętnie sprzyjającym „antyPiSowi”. Nie musi się powtórzyć. Chyba że – jak wspomniano – uczestnicy sondaży pochodzący z „terenu” ostatecznie nie pójdą do wyborów aż tak gremialnie. Albo wyborcy opozycji, zdając sobie nagle sprawę z politycznej stawki, nadzwyczajnie zmobilizują się w ostatniej chwili.



STAWKA W rozpoznaniu istoty nadchodzących wyborów nie pomagała kampania. Medialny szum zrównywał wszystko: kwestię środowisk LGBT, waluty euro, strajku nauczycieli, socjału, wojny religijnej, ustawy 447. Pod tym względem ta batalia była jałowa, rozdrobniona i nieadekwatna, jeśli wziąć pod uwagę, co nadchodzące wybory mają w istocie rozstrzygnąć.

Pytanie brzmi: czy opozycji udało się przekonać wyborców do wagi rzeczywistych osi sporu? Czy Polska ma być bardziej na Wschodzie czy Zachodzie, czy powinna być zintegrowana z decyzyjnym centrum Unii, czy „suwerennie” pozostawać na jej obrzeżach? PiS robi wiele, aby te dylematy unieważnić. Politycy tej partii mówili o potrzebie „integracji europejskich portfeli”, o „jedności w dobrobycie”, próbując w ten sposób przełożyć swoją wewnętrzną, rozdawniczą politykę na kontekst unijny. A zarazem oderwać dyskusję od „niematerialnych” wartości liberalnej Europy, a więc poszanowania prawa, konstytucji, niezależności instytucji kontrolnych, prymatu wolności jednostki, niezawisłości sądów.

Stawka wyborów ma co najmniej trzy wymiary. Po pierwsze, rzeczywiście chodzi o to, jacy kandydaci której partii trafią do Parlamentu Europejskiego. Od tego będzie zależeć siła europejskich frakcji, wybór szefa Komisji Europejskiej, skład innych ważnych unijnych instytucji, ogólny kierunek ideowy tej organizacji. PiS i podobne partie populistyczne nie ukrywają, że ich ostatecznym celem jest przejęcie Unii z rąk „lewactwa” i „liberałów”, nadanie jej charakteru specyficznej międzynarodówki nacjonalistycznej, sojuszu „suwerennych demokracji”.

Po drugie, stawką jest pozycja Polski w Unii. Zwycięstwo PiS utwierdzi europejskich polityków w przekonaniu, że sytuacja polityczna w Polsce nie zmienia się. Może to skutkować trwałym już przesunięciem kraju do kategorii państw drugiego rzutu, tolerowanego, ale niezapraszanego do poważnych debat i przedsięwzięć. PiS dowodzi, że udało się, także dzięki wysiłkom tej partii, zatrzymać koncepcję tzw. dwóch prędkości, że Francja nie dogadała się z Niemcami w sprawie wyodrębnienia strefy waluty euro z reszty Unii i prowadzenia odrębnej polityki. Jest to daleko idąca naiwność. „Druga prędkość” nie musi być ani negocjowana, ani ►